



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Andrzej Składanek

## Okupacja, powstanie i powrót

Jestem warszawiakiem z wielopokoleniowym rodowodem warszawskim. Wiadomo mi, że moi antenaci posiadali m.in. jakieś młyny na Woli, od początków XIX wieku władali jedną z kamienic na Rynku Starego Miasta, a pod koniec tegoż wieku także i drugą. Mój dziadek ze strony matki był współwłaścicielem Drukarni Artystycznej, mieszczącej się na Nowym Świecie (Drukarnia Artystyczna Kazimierz Kopytowski i Ska, Nowy Świat 47). Niestety, została ona kompletnie zburzona we wrześniu 1939 roku. Dziadkowie byli też współwłaścicielami kamienicy na Tamce, gdzie mieściła się redakcja drukowanego u nas „Kurierza Polskiego”. Mieszkali natomiast w kamienicy na rogu Chmielnej i Nowego Świata. Dziadkowie ze strony ojca mieszkali na Woli, na ulicy Staszica. Stryj Klemens, wybitny fotograf, ale też znawca i miłośnik innych dziedzin sztuki, żeby móc z czegoś opłacać swoje artystyczne pasje otworzył sklep z konfekcją męską na Szpitalnej 4. Matka miała własne mieszkanie na Szopena<sup>1</sup>. Pradziadkowie mieszkali na Kopernika, ktoś jeszcze z rodziny – obok, na Szczygłej. W czasie okupacji były jeszcze inne adresy: Hoża, Wilcza, Przejazd, Miedziana...

Urodziłem się w 1938 roku w Warszawie. Po krótkim pobycie w Józefowie („na linii otwockiej”), w willi kupionej specjalnie na okazję moich urodzin, całą wojnę spędziłem głównie pod dwoma adresami: Szopena 19 i Miedziana 5. Na Miedzianej przeżyłem też Powstanie.

### Migawki z czasów okupacji. Rok 1943

Wiosenny dzień. Jedziemy z Ojcem tramwajem, z wizytą gdzieś na Stare Miasto. Wsiadamy na Placu Krasieńskich, przed skrzydłem pałacu zamykającym plac. Nasi znajomi mieszkają w wysokiej kamienicy, bo z ich okien widać dachy sąsiednich domów. Widać także coś więcej – zza domów wylaniają się szalejące w oddali płomienie i dymy. To płonie getto. Nie wiem o tym i w ogóle nie wiem nic o getcie. Patrząc jak urzeczony na straszliwy widok i grozą przejmuję mnie nieopanowany żywioł. Takie sceny przyjdzie mi jeszcze oglądać w niedalekiej przyszłości.

Jakiś letni, pogodny dzień. Szliśmy z Ojcem Alejami Jerozolimskimi i nagle zobaczyłem bombę, ogromną lotniczą bombę. Było to przed budynkiem Banku Gospodarstwa Krajowego (BGK), na rogu

<sup>1</sup> „Ulica Szopena” (bez imienia) widniała na tabliczce ulicznej przed wojną i w czasie okupacji. Niemcy nie zmieniali jej nazwy, ponieważ nie utożsamiali (tej ostatniej) z Fryderykiem Chopinem, którego osoba i muzyka były na indeksie. Dziś jest ulicą Fryderyka Chopina.

Nowego Świata. Stała wkopana w chodnik i przed wojną służyła za słup propagandowy Ligi Obrony Przeciwpowietrznej i Przeciwgazowej (LOPP). Dla mnie w tym czasie, kiedy wszystko kojarzyło się z wojną, była to prawdziwa bomba i serce biło mi mocno na jej widok. Dziwne, że do tego czasu Niemcy jej nie usunęli. Może ją jeszcze ktoś pamięta?

Inny dzień. Idziemy z Ojcem jakąś uliczką chyba na Powiślu i rozmawiamy z ożywieniem. Tata trzyma mnie za rękę. Nagle ostrzegawczy uścisk dłoni. Milknę natychmiast – to nasza „konspiracja”, ściśle przestrzegana w przypadkach takich jak ten. Z naprzeciwka powoli, jakby leniwie, całą szerokością chodnika zbliża się trzech Niemców w hełmach i chyba z metalowymi plakietami na łańcuchu na piersiach. Dochodzą. Zatrzymają nas? Przeszli. Potem w sąsiedztwie słychać strzały, które przenoszą się gdzieś dalej.

Idąc dalej, przez park czy skwer, natrafiamy na krople krwi na ścieżce, wskazujące sznureczkiem trasę odwrotu rannego. Co parę metrów krople zamieniają się w małą kałużę – tu odpoczywał. Kto to był? Czy go złapali? Nie ma czasu na dywagacje, bo w okolicy robi się dziwny ruch i ożywienie. Łapanka. Ojciec nie ma szans, by z 5-letnim dzieckiem przedrzeć się przez kordon. Pukamy więc do najbliższych drzwi obcego przecież mieszkania i w obcym domu, ale w tamtych czasach ludzie na ogół nie byli sobie obcy. Krótka rozmowa i zostaję na noc. Następnego dnia Ojciec, cały i zdrowy, odbiera mnie z gościnnych rąk. Dzięki Wam – nieznajomi warszawiacy z Powiśla!

Wczesny wieczór, lato. Jesteśmy z Ojcem w gościnie u kogoś, kto mieszka w małym domku na Ochocie (Okęciu?). Zasiadliśmy się i nie można już wracać ze względu na godzinę policyjną. Siedzimy więc przy karbidówce, a może przy świetle z akumulatora. Jest pogodna, wczesna noc i naraz słychać głuche sieknięcia artylerii i szczekanie „zenitówek”. Ostrożnie wychodzimy do ogrodu. Jest niemal jasno. Ze zdumieniem oglądam wspaniałą fajerwerk, pełen tajemniczości i grozy, a jednak zachwycający. Z nieba zwieszają się lampiony flar, we wszystkich kierunkach mkną kolorowe paciorki pocisków. Wokół jakichś celów na niebie rozbłyskują eksplozje. Dech zapiera. Jeszcze nie wiem, że to przedstawienie nazywa się „gra życia ze śmiercią”. Czy to były rzuty czy wręcz przeciwnie – bombardowanie?

Letni dzień. Jestem z Mamą w Parku Ujazdowskim. Bawię się wokół małej fontanny. Odbiegam dalej. Wtedy podchodzi do mnie jakiś Niemiec w mundurze wojskowym (oficer?), ale w przyjaznych zamiarach, bo częstuje mnie cukierkami. Zdecydowanie odmawiam, nie licząc się z konsekwencjami. Tak instynktownie reagowała Warszawa, dorośli i dzieci, na wszelkie gesty najeźdźców. Chyba uznał moje racje, bo nawet odprowadził mnie do zaniepokojonej Matki.

Mieszkamy z Ojcem na Miedzianej 5. Mieszkanie należy do mojej ciotki Haliny Mścichowskiej, wziętej dentystki. W oficynie naszego domu mieści się komisariat granatowej policji (VI Komisariat PP). Często w bramie i na podwórzu słychać awantury z zatrzymanymi. Czy to tylko pijacy? I jakie są ich dalsze losy?

Z mojego balkonu (I piętro, po lewej stronie bramy) na prawo widać wylot ulicy Miedzianej na placik obudowany składami (m.in. brykietów – wiem, bo raz był tam pożar i straż i mówiono, że „brykiety się same zapaliły”). Zbiegają się tam Srebrna, Twarda, Chmielna i Miedziana. Na lewo w kierunku Placu Kazimierza Wielkiego perspektywa kończy się ścianą domów parzystej strony ulicy Pańskiej. W jednym z nich jest chyba piekarnia. Balkon ten jest także miejscem mego pierwszego „romansu”. Otóż bawiąc się w słońcu spostrzegam koło siebie wyciętą z tekturki i pięknie oklejoną kolorowym papierem... słuchawkę telefoniczną. Po bliższym rozpoznaniu okazuje się, że została ona spuszczone na sznurku z balkonu na II piętrze przez pannę mniej więcej w moim wieku. Ta „poczta balkonowa” służyła nam potem wielokrotnie do wymiany słodyczy i upominków lub jako zaczepka do rozmowy. Niestety telefon działał tylko w jedną stronę – ja nie miałem szansy do wykazania inicjatywy.

Któregoś dnia robi się szum i ruch na mojej ulicy. Zajechała „buda”, żołnierze niemieccy ustawili się z bronią po obu stronach ulicy. Nie wolno wyglądać przez okna. Ojciec ukradkiem patrzy na zewnątrz. Wyprowadzają kogoś z bramy – zabierają z aresztu, pewno na gestapo. Pogotowie odwołane, Niemcy odjeżdżają z więźniem. Po pół godzinie znowu ruch, znowu „buda”. Okazuje się, że tym razem przyjechali prawdziwi Niemcy po więźnia, który odbity fortelem był już daleko, w gronie kolegów.

Po którymś z takich zamętów, z dodatkiem strzałów, na klatce schodowej spostrzegam znajomy (z Powiśla) sznureczek kropel krwi. Prowadzą od parteru na II piętro. Tam urywają się w dość dużej kałużę. Co się stało, kto to był, co się z nim dzieje – nie wiem. Ale przeżywam grozę i poczucie jakiejś strasznej tajemnicy.

Na Szpitalnej pod 4-tym prowadził sklep z konfekcją męską mój stryj, Klemens<sup>2</sup>. Ojciec mój, Julian, z powołania i zawodu aktor, był tam współwłaścicielem, czy też „pracownikiem czasu wojny”. Zatrudniony był tam również pan Jerzy Schabowicz, później artylerzysta, który w Powstaniu jako kpr. „Jur”

<sup>2</sup> Znany i ceniony fotografik, kolekcjoner dzieł sztuki – głównie malarstwa, właściciel pracowni mebli artystycznych oraz sklepu z porcelaną (Szpitalna 8?). W pracowni poznałem niezapomnianą woń kleju stolarskiego. Jego kolekcja prawie w całości spłonęła na Moniuszki 7 (naprzeciwko „Adrii”), gdzie mieszkał.

z „Chrobrego I” skutecznie strzelał z działa do Niemców, broniąc Arsenału i Pasażu Simonsa. Do tego sklepu wyruszyliśmy często z Ojcem z Miedzianej piechotą, idąc albo przez Chmielną albo przez Twardą-Złotą i wychodząc na wspaniałą „dom pod orłami” u zbiegu Jasnej i Zgoda. Robił na mnie wrażenie. Bardzo lubiłem te wyprawy i pozostał mi z nich w oczach wygląd ulicy warszawskiego Śródmieścia z tamtych lat.

W sklepie buszowałem wśród pudeł z krawatami, skarpetkami, koszulami oraz męskimi podwiązkami (kto je dziś pamięta?), upajając się tajemniczą nazwą „selfiksy” (rodzaj skarpet). Sklep ten wyposażony był w piwnicę, przymierzalnię i magazyn, służące w razie potrzeby także za mieszkanie i schron<sup>3</sup>.

Ostatnio co wieczór kładziemy się spać w ubraniach. Okna, zalepione na krzyż paskami papieru, „na noc pozostają otwarte. W ten sposób żaden podmuch eksplozji nie powinien wyrządzić im szkody. Ale oto alarm lotniczy. Rozespany zwlekam się z łóżka i wraz z innymi mieszkańcami schodzę do piwnicy. Znow ten specyficzny zapach solidnej piwnicy warszawskiego domu – swąd świec i kaganków pomieszany z zapachem starego muru i czegoś zbutwiałego (no i kotów).

Ludzie rozkładają się gdzie kto może. Jeszcze nic się nie dzieje, słychać tylko powszednie już odgłosy działań wojennych: jakieś głuchoe wybuchy, strzały. Nagle wybuchy narastają, stają się wyraźniejsze, wyodrębnione z ogólnej mieszaniny dźwięków, jakby bardziej nas dotyczące. Jeszcze nikt nie dopuszcza myśli, że bomba faktycznie trafi akurat w nasz dom (ma tyle innych!), ale strach i niepokój szybko rosną. Wybuchy następują w krótkich, regularnych odstępach, za każdym razem głośniejsze i bliżej. Wszystko to odbywa się w ciągu kilkudziesięciu sekund. Odgłos ostatniej eksplozji jest już nie do wytrzymania, coś się osypuje ze stropu i ścian. Potworny huk, kurz, podmuch, kwaśny odór, piach w oczach i w ustach, lampki gasną. Rozlega się przeraźliwy, histeryczny krzyk: „Zasypało nas!”. Panika, pandemonium. Po chwili wyjaśnia się, że jednak nie zasypało. Nalot powoli zanika.

Następnego dnia z ogromnym zdziwieniem i niedowierzaniem oglądałem z naszego balkonu dom po przeciwnej stronie Miedzianej, kilka bram w bok w kierunku Pańskiej (na rogu Siennej?), który zamiast stać jak inne, po prostu leżał na ulicy. Rozsypał się łagodną stertą na chodnik i jezdnię, aż po przeciwną krawężnik, a może i dalej. Nie było w nim już nic z domu, nic znajomego, żadnych elementów życia. Po prostu kupa dość równo rozsypanych cegieł. A wszystko wokół pozostało jak zwykle. Nie mogłem tego pojąć.

Idziemy z Ojcem jakąś ulicą. Po obu jej stronach ciągną się mury ogrodzeń i zabudowań fabrycznych. Nagle spostrzegam niezwykle widok: szereg ogromnych hełmów strażackich w dawnym stylu „kirasjerskim” wystaje zza muru po prawej. Masywne, metalowe, z łączeniami jak w rycerskiej przyłbicy, z wysokimi, fantazyjnie zawiniętymi czubami. Budzą grozę i ciekawość. Były to tzw. „straszaki”, czyli wywietrzniki ustawiające się odpowiednio do kierunku wiatru, chyba na terenie fabryki Norblina w okolicach Prostej, Łuckiej, Wroniej.

Zaduszki. Już wracamy z Powązek. Ciemno, plucha. Ale za to co parę metrów wylania się z mroku postać okutana w jakieś chusty i łąchy, siedząca przy stoliczku, na którym leży rozłożona... „panieńska skórka”. Co za rozkosz dla podniebienia! Ile takich kawałków wyzebrałem od rodziców w drodze od IV bramy do tramwaju – nie pamiętam. Tramwaj jedzie wzdłuż muru cmentarnego z jednej strony i zabudowań fabrycznych (zakłady garbarskie Temlera i inne), ledwo widocznych w mroku – z drugiej. Tłoczno. Nastrój istic zaduszkowy. Słyszę głos jakiejś dziewczyny: „Potrzyj tę torbę”. I odpowiedź drugiej: „Nie mogę. Nie mam ręki”. Ze zgrozą, dyskretnie, staram się obejrzeć kalekę. Wreszcie dostrzegam, że ma obydwie ręce, w dodatku zajęte pakunkami. Nic nie rozumiem, ale to Zaduszki, czas tajemnic. Zasypiam w takt toczącego się tramwaju.

## Powstanie

Terkot broni maszynowej, cięższe i lżejsze wybuchy, pojedyncze strzały – to już absolutnie codzienna i swojska pieśń, na którą – poza trafionymi – nikt nie zwraca uwagi. Pozostajemy w mieszkaniu na stałe i nie schodzimy do piwnicy. Już nie wolno mi wychodzić na balkon i zbliżać się do okien. Na balkonie, za filarkami, stoją butelki z benzyną.

---

<sup>3</sup> W tej piwnicy 4 września 1944 roku zginęli oboje stryjostwo – Klemens i Janina. Zabił ich podmuch bomby, która rąbnęła w dom, pozostawiając go bez szkody i eksplodując w piwnicach. Kiedy ich znaleziono leżących na tapczanie i pokrytych białym pyłem czy tynkiem, nie byli nawet draśnięci - po prostu nie żyli. Podczas tego samego nalotu na Szpitalnej 4 zginęło 10 osób ze sztabu IV Rejonu AK oraz około 90 mieszkańców. Bomby zniszczyły kompletnie kamienicę na Szpitalnej 6.

Ojciec zniknął z domu. Po pewnym czasie dowiadujemy się, że „jest w akcji”<sup>4</sup>. Nie wiem co to znaczy, ale jestem bardzo dumny. W późniejszym okresie dostajemy wiadomość, że zachorował na czerwonkę.

Dookoła atmosfera radosnego, zwariowanego święta. Nic nie obowiązuje z tego, co dotychczas dla takiego brzdąca jak ja było „święte”. Całe dni spędzam na podwórku z jakimiś urwisami w moim wieku i starszymi, z którymi na pewno nie byłoby mi wolno bawić się w „normalnych” czasach. Źle się jednak te zabawy kończą (na szczęście nie dla mnie), bo któregoś dnia kilku kolegów dostaje garścią drobnych odłamków po plecach, a głównie niżej – no i straszny wstyd i okropny ból, a co najgorsze, jest się unieruchomionym. Jednak i pobyt w mieszkaniu okazuje się być nie całkiem bezpieczny (do piwnicy schodzimy tylko w przypadkach koniecznych i całe życie toczy się „na górze”, tyle że w miarę daleko od okien). Któregoś razu, po kolejnej eksplozji, coś toczy się z hurkotem po podłodze. Jest to odłamek pocisku artyleryjskiego, tak jeszcze gorący, że parzę sobie boleśnie palec.

Kiedy już schodzi się do piwnicy, to nieoczekiwanie można przeżyć większe przygody niż na zewnątrz. Oto jakieś wyrostki-urwisy, zresztą bardzo życzliwi, prezentują mi do wyboru lśniący nową farbą „kapiszonowiec”, wyciągnięty gdzieś z rozbitego sklepu z zabawkami oraz mocno sfatygowany (brak okładzin rękojeści i na pewno jakichś części zamka, co widać) i pozbawiony blasku prawdziwy pistolet. Oczywiście wybieram prawdziwy. Dostaję jednak „kapiszonowiec”. Ale i tak musiałem „zdać broń” przy wyjściu z Warszawy. Towarzyszył mi tylko pluszowy miś.

Wydaje mi się, że nasz dom jest teraz fortecą. Brama przez większość dnia zamknięta na głucho, zorganizowano obronę przeciwlotniczą (faktycznie przeciwpożarową – do obrony przed skutkami fosforowych bomb zapalających), są jakieś władze, komitety, komendant domu, ludzie z opaskami na rękawach. Ale życie kamienicy koncentruje się wokół wspólnych modłów na podwórzu (chyba była tam figura, a może tylko ad hoc sklecony ołtarzyk), wróżki, która gdzieś tu mieszka oraz codziennych seansów spirytystycznych. Co się działo w pomieszczeniach komisariatu – nie pamiętam, jakoś przestał on wówczas istnieć w mojej pamięci. Ciocia-dentystka również i podczas Powstania nie przerywa swej medycznej służby. Odwiedzają ją cywile i żołnierze, by podratować swe uzębienie. Któregoś dnia przychodzi wyjątkowo elegancko umundurowany oficer (kpt. Hal?, por. Zdunin?) z pistoletem w kaburze – ale zawieszonym na lince na szyi – z zawiązaną na teźże szyi jakąś wspaniałą chustą. Na moje pełne podziwu spojrzenia oficer rozładowuje pistolet i pozwala mi ganiać z nim po całym mieszkaniu na czas zabiegu. Nie ograniczam się do naszego mieszkania, ale pędzę piętro wyżej do dwóch starsuszek, każąc im otwierać w imieniu „getapo”. Panie ubawione dziecięcym głosem „gestapowca” chętnie mi otwierają i błedną na widok wycelowanej w nie lufy. Skąd mogły mieć pewność, że pistolet nie jest nabity i że ja nie pociągnę za spust? Ja jednak dostając reprimendę od cioci wcale nie byłem zdania, że był to głupi kawał.

Sądząc po natężeniu codziennej kanonady jestem przekonany, że tam, za bramą, ulica musi być usiana pociskami karabinowymi – „czubkami”, na które mam ogromną chęć. Gdyby tylko pozwolono mi przekroczyć tę bramę choć na chwilę, na pewno miałbym ich pełne kieszenie. I oto szczęście! Pewnego dnia mam z kimś starszym przejść do domu naprzeciwno. Po co, nie wiem. Ale to moja oczekiwana szansa. Niestety okazuje się, że ulicę trzeba przeskoczyć biegiem. Czaimy się w naszej bramie. Skok i już jesteśmy w bramie po drugiej stronie. Żegnajcie czubki. W oczach pozostaje mi tylko widok zaśmieconej jakoś ulicy, wrażenie nieporządku i opuszczenia, okaleczone drzewa. Czy to Miedziana, którą znam?

Udaje mi się też kiedyś wyjść ponownie na balkon. Ulica jest szara, chyba zasnuta dymem. W głębi, na Pańskiej, z parterowych okien wylewa się ku górze morze ognia. To płonie chyba znajoma piekarnia. Widok jest przerażający – ogień rwący z taką siłą i samowolą widziałem dotąd raz tylko, gdy płonęło getto, ale wówczas odległość była znaczna i wyglądało to bardziej malowniczo niż groźnie. Ale teraz – struchlały cofam się do pokoju.

Któregoś razu przychodzi do nas jakaś młoda kobieta z charakterystyczną parcianą torbą sanitarną z czerwonym krzyżem i przynosi mi prezenty od mojej Mamy<sup>5</sup>. Kobieta mocno zaciąga z rosyjska (z lwowska?), a na imię ma Tosia – pewnie Antonina. Zginęła później od pocisku artyleryjskiego w mieszkaniu na wysokim piętrze w jednym z domów po zachodniej stronie Mokotowskiej u zbiegu Piusa, Szopena i Mokotowskiej. Pochowano ją na trójkątnym skwerku, który istnieje do dziś.

<sup>4</sup> Teraz już wiem, że Ojciec w stopniu podporucznika ( pseud. „Skład”) brał udział w akcji, jako oficer operacyjny w dowództwie Zgrupowania „Chrobry Ti” w Śródmieściu Północ-Zachód. Kwatera dowództwa Zgrupowania mieściła się początkowo przy ul. Twardej 40, a następnie Siennej 41/43/45.

<sup>5</sup> Moja Matka, Joanna, miała konspiracyjny staż w II Oddziale Komendy Głównej AK (Wywiad Przemysłowy „Arka”). Była w akcji najpierw w Komendzie Placu Śród-mieścia-Południe – jako łączniczka majora „Wołka”, a następnie w Śródmieściu-Północ, w okolicach kina Palladium, jako łączniczka (pseudonim „Jana”) płk. „Tunguza”.

Tak upływają dni. Pewnego wieczora poruszenie. Podobno na Placu Kazimierza są zrzuty i trzeba je podjąć. Gromadzą się ochotnicy. Dopraszam się i ja i... uzyskuję zgodę! Dopiero ktoś rozsądny (kogo chyba nie lubiłem w tym momencie) zdecydował inaczej.

W któryś słoneczny dzień ogromna radość. Na niebie ogromna liczba różnokolorowych kółeczek z dziurką w środku. Wyglądają przepięknie i powoli opadają w dół. Cieszę się, że będę mógł nazbierać ich sobie, bo robią wrażenie, jakby wszystkie miały zamiar wylądować na naszym podwórku. Jestem o tym przekonany, więc czekam. Niestety z coraz większym rozczarowaniem. Ale widoku tego nie zapomnę. Tak oto „minąłem się” z zasobnikami masowego zrzutu z amerykańskich superfortec, dokonanego 18 września.

Pogoda jest szarawa. Znowu mogę wyjść na balkon. Butelki znikły już dawno temu. Zabrał je jakiś brudas z opaską (nie gniewaj się, nieznamy żołnierz Powstania – tak Cię widziałem wtedy).

Na dole, frontem do domów przeciwległej strony ulicy, stoi długi dwuszerzeg uzbrojonych ludzi z opaskami. Przed nimi stoi lub przechadza się kilku innych, lepiej i bardziej jednolicie umundurowanych i oporzędzonych. O co chodzi? Dlaczego umilkły strzały? Ta cisza jest dziwna, obca, niezwykła, trudna do zniesienia. Kapitulacja. Co to słowo znaczy? Okazuje się, że znaczy koniec, kres tego, czym żyliśmy ostatnio na co dzień, co stało się naszą „normalnością”. Po pewnym czasie słyszę głośne komendy i oddział znika z ulicy. Ojciec ma wyjść z ludnością cywilną.

Chyba tego samego dnia mamy w mieszkaniu wizytę oficera (?) niemieckiego, który przyszedł wybrać sobie co cenniejsze meble i przedmioty. Tak jestem zaskoczony widokiem Niemca w naszym mieszkaniu, że nieostrośnie cofam się tyłem, potykam się i wpadam na stos pośluzonych szyb, rozcinając sobie mocno wierzch lewej dłoni. Niestety, rana nie jest chwalebna – Ojciec później wyrzuca mi, że rozbeczałem się przy szkopie.

Poczyniwszy odpowiednie przygotowania, polegające na uszyciu tułaczy sakw-worów, po dwóch dniach również i my wędrujemy do obozu w Pruszkowie, aby już nigdy nie wrócić na Miedzianą 5 i już nigdy nawet nie zobaczyć naszego domu. Prowadzą nas szeroką ulicą z torami tramwajowymi i słupami trakcji po środku. Musiała to być Grójecka. Środka transportu do Pruszkowa nie pamiętam.

W Pruszkowie rozdzielają nas: Ojciec „idzie w transport” do Niemiec (wylądował w Essen, w zakładach Kruppa, a potem w kompaniach wartowniczych we Francji). My z ciocią Mścichowską zostajemy załadowani do transportu (na otwartych lorach?), z którego wysiadamy po długiej jeździe. Następnie ustawiają nas w kolumnę i pędzą gdzieś pod strażą. Dziwne, bo na ogół ludność cywilna była rozwożona w okolice Warszawy lub dalej (np. w kieleckie) i puszczana wolno. W rezultacie wylądowaliśmy koło Częstochowy. Gdzie nas wiozą, czyżby do jakiegoś obozu? Urywamy się z kolumny w towarzystwie jakiegoś nieznanego starszego pana i pędzimy przez pole do wioski. Czy nas nie zauważyli (wachmani szli od strony szosy), czy nie strzelali, czy sam Bóg nas ustrzegł od śmierci – nie wiem. Udało się.

Po kilku miesiącach Mama, która uciekła z transportu pod Wiedniem i wróciła do Polski na jakichś sagach drzewa wiezionych koleją czy samochodem, odnalazła mnie na wsi w okolicach Częstochowy. Trafiała do mnie dosłownie „na ślepo”, bo bez żadnych konkretnych informacji o miejscu mojego pobytu. Pojechaliśmy razem do Częstochowy, gdzie już mieszkała babcia Helena (Jej matka). Tam przeżyliśmy „wyzwolenie”. W tenże dzień znowu uniknąłem śmierci. Mama zabrała mnie ze szpitala na prześwietlenie płuc „na miasto”. Gdy wróciliśmy okazało się, że cała ściana, przy której stało moje łóżko, została zmieciona bombą czy pociskiem. Pamiętam, że kiedy szliśmy ulicami Częstochowy nad głową grzmiały sowieckie działa i mijaliśmy grupki Niemców szybko maszerujące (trójkami) w różne strony. Na chodnikach leżały pociski do granatnika, różnych kolorów i kalibrów, pięknie ułożone w sterty.. Ku memu szczeremu żalowi Mama nie pozwoliła mi wziąć nawet „tego najmniejszego” na pamiątkę.

## Powrót – rok 1945

Znowu jesteśmy w Warszawie. Wszystkie nasze mieszkania oraz drukarnia na Nowym Świecie są w ruinie. Na Koszykowej, w pobliżu hal targowych, gdzie jacyś krewni mają sklep warzywny, w osobliwy sposób bawię się z kolegami: kopujemy ludzką czaszkę, znaną gdzieś w pobliżu. Nie dociera wówczas do mnie, że są to godne szacunku szczątki kogoś, kto mógł być moją Mamą, Tatą lub mną samym. Nie pamiętam, czy ktoś zwrócił nam wówczas uwagę.

Znajdujemy przytulisko w bramie domu przy Krakowskim Przedmieściu wraz z wielką liczbą innych, nieznamy osób. Zbliża się Wielkanoc. Gdzie i z czego urządzić święcone? Idziemy z Matką Placem Trzech Krzyży obok ruin kościoła Św. Aleksandra i nagle wśród gruzów znajduję malutką książeczkę do nabożeństwa, bez tylnej okładki, ale całą, a w pobliżu – jakiś banknot. Ten dar gruzów Warszawy stał się fundamentem naszych świąt, Książeczkę mam do dziś.

## Rok 1946

Znów Święta Wielkanocne tuż, tuż. Tradycyjnie wybieramy się z Matką na groby. Z przedwojennych jeszcze czasów trasa prowadzi od kościoła św. Krzyża, przez Krakowskie i Starówkę, do najdalszego kościoła: Najświętszej Maryi Panny na Nowym Mieście. Każdy z kościołów jest bardziej lub mniej zrujnowany, ale w każdym Grób Chrystusa przemawiający do serca i wyobraźni. Motyw wszędzie podobny: z okowów śmierci, z gruzów i kłębowisk drutu kolczastego zmartwychwstaje Chrystus – Polska – Warszawa do nowego, promiennego życia. Rekwizytów do tych grobów nie trzeba było sprowadzać z daleka. Figura Chrystusa prawie wszędzie ulokowana jest w „naturalnym” otoczeniu zburzonego kościoła. Na Piwnej, w ruinach trzeciego czy czwartego domu od Placu Zamkowego widok jak ze strasznej bajki. Oto czarownica w dziwacznym stroju, z długimi, splątanymi włosami, otoczona stadem gołębi, które siadają bez lęku na jej ramionach i głowie. Trochę się jej boję, ale widok jest niezwykły.

Na Rynku Starego Miasta ścieżki wydeptane w wąwozach gruzów. Przez otwory okienne stojących jeszcze frontowych ścian domów północnej pierzei Rynku prześwieca niebo. Na uprzątniętym placu leży ogromny niewypał. Jesteśmy już na Nowym Mieście. Krajobraz taki sam, jak wszędzie indziej, ale... Nie do wiary! Kościół NMP stoi nienaruszony w morzu gruzów dookoła. Zbliżamy się wzruszeni i wchodzimy do wnętrza. Od drzwi, w głębi, otwiera się nagle szeroka panorama praskiego brzegu Wisły. Nasza „nienaruszona” świątynia nie ma absydy!

## Rok 1947

Jak co roku na Wielkanoc obchodzimy kościoły, by odwiedzić Grób Chrystusa. Oprócz pobudek religijnych kieruje nami potrzeba czerpania siły i wzruszeń z symboliki zastępującej wolność słowa i przekonań. Dochodzimy już do Starego Miasta. Boże mój! To prawdziwa wyprawa „na groby”. Prócz tych Chrystusowych w kościołach, groby wszędzie wokół nas. Na Podwalu prowadzone są prace ekshumacyjne. W gruzach po prawej jeden cmentarz. Na murku przy chodniku rzędem leżą ludzkie czaszki. Obok – kości rozmaitych rodzajów i rozmiarów. Śmierć odarta z majestatu – ot, roboty ziemne. Ten fakt i ten widok robią na mnie wstrząsające wrażenie.

Z kolegą, którego wraz z jego matką spotkaliśmy w trakcie naszej wędrówki, wchodzę w gruzy domu, bodajże na rogu Kapitulnej, chyba „za potrzebą”. Ale jak to chłopaki – buszujemy trochę po okolicznym terenie i nagle mój kumpel wyłania się zza rozszarpanej futryny jakichś drzwi trzymając w rękę... karabin! Bez kolby wprawdzie, mocno zardzewiały, ale przecież prawdziwy, POWSTAŃCZY karabin. Matki decydują, że całości zabrać nie można, odłamujemy więc tylko szczerbinę z podziałką – zresztą bardzo dobrze zachowaną.

Tej Warszawy już nie ma... Nie ma? Jest ciągle w mojej pamięci...